

## Brda 2010

Autor: Zygmunt Skibicki

23.07.2010.

Zmieniony 22.01.2012.

Jechałem na ten spływ z obawą, że będę płynął sam, ale przecież nie pierwszy raz by tak było. Bywało, że po prostu brałem kajak i płynąłem sam jakąś rzeką nikomu nic wcześniej o tym nie mówiąc. Tylko najbliżsi wiedzieli, gdzie mnie ewentualnie szukać...

Prawie wszyscy, tak napaleni na ten spływ w lipcu zeszłego roku w ciągu ostatnich miesięcy wycofali się. Tylko Jarek nie przysłał rezygnacji...

Moja podróż z kajakiem na dachu była wcale nie taka spokojna jak zwykle. Po stu kilometrach od Łodzi, pod Włocławkiem zauważyłem, że łódź na dachu przesunęła się do przodu. Szybka kontrola bagażnika i... kieszka! Pękła jedna z podstaw oryginalnego, fabrycznego bagażnika dla tego modelu samochodu. Tak się nie dało jechać, bo kajak mógł spaść, co przy dużym ruchu wakacyjnym na pewno skończyło by się tragicznie nie tylko dla łódki. Z drugiej strony - wymarzony urlop i być może kilka umówionych osób będzie na mnie czekać. Trzeba jechać dalej, a zostało jeszcze prawie trzysta kilometrów... Na szczęście miałem kilka krótkich, ale mocnych linek do uzbrojenia łodzi i jakoś dało się wykonceptić skuteczne rozwiązanie. Potem okazało się, że ten bagażnik kupiłem niecały rok temu - zostało zaledwie kilka dni! - i telefonicznie powiadomiony serwis obiecał, że w kilka dni ściągnie mi części zapasowe...

Do Sworów(\*) dojechałem z prawie półgodzinnym spóźnieniem, ale ledwo wysiadłem z samochodu odezwał się telefon od Jarka:

- Gdzie jesteś, bo my już na miejscu...

- Ja także - odpowiedziałem, i już za chwilę się witaliśmy.

Ania, córka Jarka okazała się bardzo atrakcyjną osiemnastką, ale z takich co to wiedzą sporo o aktywnym spędzaniu czasu. Kajakami też pływała, ale wpraw to by wołała raczej z brzegu niż z kajaka. Przeciw kapokowi nic nie miała. Zapowiadała się fajny spływ...

Oni jechali całą noc ze Śląska i zapewne byli mocno zmęczeni, więc nie było sensu nigdzie się śpieszyć. Zjedliśmy porządny obiad i zaczęliśmy wybierać kajak dla Jarka i Ani. Sprawa wcale nie była taka prosta, bo do wyboru mieliśmy od groma fajnych i bardzo zaawansowanych łodzi, ale póki co ze 180-ciu "latających" w tym interesie nie było żadnego wolnego... Wybraliśmy więc wiosła i kapoki. W niecałą godzinę problem wolnej łodzi został rozwiązany i wywieźli nas na małe i bardzo spokojne pole namiotowe nad górną Brdą w Dolinkach. Zrzuciliśmy łodzie oraz nasze graty na trawę i samochód odjechał. Zaczęła się nasz spływ...

Nawet nie pakowaliśmy się. Zostawiliśmy bambetle pod okiem gospodarzy pola biwakowego i od razu poleciliśmy na wodę, bo Jarek z Anią chcieli się "przymierzyć" - to był ich pierwszy wspólny spływ. Oczywiście popłynęli w kapokach. Ja także chciałem wypróbować dopiero co zrobioną regulację pochylecia oparcia w moim kajaku i ostatecznie dopasować położenie podnóżków...

Od razu trafił się Ani fajny temat do zdjęcia.

W kilka minut wypłynęliśmy na Jezioro Szczytno i tam dopadła nas potężna "lampa". Mała fala szła wprost pod dziób. Leki wiaterek chłodził, ale tak jakoś niemrawo. Oj, będziemy się pocić i to solidnie. Dobrze, że wszyscy mieliśmy kapelusze...

Trochę zachodu było ze zgraniem wspólnego wiosłowania moich towarzyszy, ale po kwadransie wszystko było już OK. Spore tego jeziora do "przekopania", a razem będziemy ich mieli aż dwanaście. Wołałem im tego nie mówić od razu...

Chcieliśmy pofotografować fajną rodzinę łabędzią, ale ponieważ z zasady nie karmię dzikiej zwierzyny, szybko okazało się, że bez dużego teleobiektywu nic sensownego nie zrobimy. Kto by zabierał na wodę tak wyszukane i kosztowne sprzęty...?

Wieczorna kąpiel w rzece znacznie poprawiła nam spieczone słońcem humory.

Potem małe ognisko i pieczenie kiełbasek.

Jarek przywiózł jakąś egzotyczną butelczynę z pszenicznym kłosem w środku. Przy tym przyznał, że właśnie tego dnia pierwszy raz w życiu siedział w kajaku. Całkiem fajnie się zaczęło, ale jak przyjdzie

większa i skośna fala...

Nie pamiętam, jak się spało, bo... spałem.

Poranek okazał się aż za bardzo słoneczny. Namioty postawiliśmy tak, by słońce jak najwcześniej je osuszyło. No i wyгнаło nas to słoneczko z namiotów.

Śniadanie, szybka likwidacja biwaku i znów jesteśmy na wczoraj zwiedzonym jeziorze. Wiatr z tego samego kierunku, ale trochę mocniejszy. Życie jest piękne!

Ania z Jarkiem zupełnie dobrze radzili sobie z wiosłami. No, może trochę za wysoko je trzymali, co oczywiście owocowało wodą w kokpicie. Szybko jednak złapali zdecydowanie lepszą, skuteczniejszą, a przede wszystkim mniej męczącą pozycję.

Grzało solidnie. Napój "trasowy": woda z za burty i pastylka izotonika szybko się skończyła, więc zrobiłem sobie drugą. Ciekawe jak poradzą sobie Jarek i Ania, bo coś nieufnie patrzyli jak do butelki biorę tę wodę z za burty.

Cztery kilometry pierwszej prostej, potem dwa drugiej i... upsss!

Po kolejnym skręcie fala nadbiegała dokładnie z boku! Nie za duża ona była, ale kiwało nieźle. Do przejścia było około trzech kilometrów w takim stanie. Trochę poczekałem, ale moi towarzysze dzielnie sobie radzili podobnie jak ja tańcząc salsę... sporym i wyładowanym kajakiem.

Kolejne dwa kilometry przez Jezioro Końskie, to już był czysty relaks.

Zwłaszcza, że na wprost widać już było potężne pole biwakowe z plażą i gastronomią, gdzie planowaliśmy odpoczynek. Ania oczywiście ubytki płynów restaurowała wodą z lodem, a my chłodnikiem.... chmielowym.

- Zostało nam jeszcze 11 kilometrów, ale rzeką. Będzie nas teraz niosła woda, a i cienia trochę wreszcie będzie - pocieszałem, choć wiedziałem przecież, że to trochę za dużo na pierwszy dzień...

Niosło nas rzeczywiście nieźle, ale mogło by znacznie lepiej. Im wyższa woda, tym wolniej płynie. Tak to przynajmniej wygląda na niewielkich rzekach i w rozsądnych granicach głębokości, bo widok dolnej Wisły w Toruniu, Świeciu i Tczewie z wiosny tego roku był zgoła inny - rwała jak jasna cholera!

Przy od dawna znanej mi zwałce planowałem poczekać na moich, ale okazało się, że po dawnych trudnościach już prawie nic nie pozostało, więc popłynąłem dalej.

Z dużą radością zobaczyłem znany pomost i pole biwakowe w Sapolnie. Też już miałem dość! Od wiosłowania zawsze najbardziej boli... d..a!

Wysiadłem, wyciągnąłem kajak na brzeg i mocząc nogi w chłodnym nurcie czekałem na towarzyszy.

Trochę upłynęło zanim ich zobaczyłem, ale za to jaki był widok...?

Zza zakrętu wyłonił się znany mi kajak, a w nim na mój widok tak promienny uśmiech Ani, że... strach się cieszyć!

- Łądujemy - zawołała.

- Wreszcie - westchnął tylko Jarek, ale nie komentował więcej zbyt dużego odcinka na początek.

Pole znane mi było od dawna podobnie jak po drugiej stronie rzeki, nieco niżej położona "patelnia". Teraz się jednak okazało, że mamy do dyspozycji toaletę z bieżącą wodą w pobliskim barze, a i prysznic z ciepłą wodą się wieczorem da wziąć... Elegancja - Francja...!

W barze były świeżo uwędzone pstrągi i sielawy. Komu by się w takiej sytuacji chciało gotować obiad?

Trochę pożartowaliśmy, bo siostra Ani przez telefon przestrzegała ją, że jak będzie tak dużo wiosłowała, to po tym spływie będzie miała bary jak Kinga Rusin. Jakoś nie zauważyłem, by ta groźba była realna.

Kilka grup spływowych nas minęło łądując na widocznej niżej "patelni" - strasznie tam prażyło i nie było nawet skrawka cienia. Po kogoś przyjechał tam spływowy transport. Normalka... Jedna grupa się zatrzymała przy nas, ale widać nie pasowały im warunki, albo nasze twarze, bo też popłynęli dalej. No i dobrze. Zbyt liczne towarzystwo nie było nam do niczego potrzebne.

Całe popołudnie siedzieliśmy w cieniu na pomoście mocząc nogi w rzece. Gadaliśmy, popijaliśmy zimne napoje: woda z rzeki i jakieś musujące tabletki, a wieczorem do jarkowego "kłoska" dołączyła jeszcze moja "trawka". Wszystko było by dobrze gdyby nie nagły, a niezwykle zdeterminowany atak komarów. Musiały być strasznie głodne, bo żadne repelenty nie skutkowały.

Nie pamiętam jak spałem, bo... wiadomo!

Rano znów cały tropik od środka miałem mokry, choć wszystkie wentyle były otwarte. W czasie robienia śniadania wszystko jednak wyschło na pieprz.

Rzeką jednak płynie się o wiele lepiej niż jeziorami. Po pierwsze nurt wykonuje za nas sporo roboty, bo niesie, a po drugie zawsze pod którymś brzegiem są jakieś skrawki cienia.

Takiej ilości grażela żółtego to ja jeszcze nigdy nie widziałem.

A wśród tych żółcieni było sporo przepięknych nenufarów. Cudo!

Widzieliśmy sporo różnych kaczek, ale żeby aż wiedzieć, które jak się nazywają, to... nie za bardzo. Nie za bardzo chciałem się moim towarzyszom narzucać, więc zazwyczaj płynąłem z przodu z rzadka tylko dając się wyprzedzić.

Wreszcie jednak wzgórze po obydwu stronach zaczęły się oddalać a brzegi zamieniły się w szerokie bagniska - widoczny znak zbliżania się do Jeziora Charzykowskiego. No i powstało pytanie: jak duża będzie na nim fala i co ważniejsze, z jakiego kierunku?

Z ostatniej przed otwartym jeziorem płachty grażeli poderwała się czapla siwa i to był ostatni fajny w tym kierunku widok. Fala była nawet znośna, ale idąca wprost od Funki, czyli dokładnie w prawy nasz bok przy zamierzonym kierunku płynięcia. By się jakoś dało, może nawet bez wywrotki, ale czasu mieliśmy od groma, na niebie też nic złego się nie działo. Trzeba by dołożyć sobie dobre pięć kilometrów drogi, ale cóż to znaczy, gdy idzie o bezpieczeństwo? Zatem, zdecydowany skręt w prawo zamiast w lewo i hajda na tę Funkę!

Szliśmy dokładnie na falę, a ona - skubana! - włąziła bezczelnie na pokład kajaka i po nim chciała wleźć do środka. Przezornie miałem przed sobą torbę pokładową i ona w miarę skutecznie mnie chroniła. Przed Anią nie było nic, ale ich kajak był zdecydowanie dłuższy i tylko trochę wody wpadło im do kokpitu.

Oczywiście cały czas próbowaliśmy odchylić się od kierunku fali w lewo, by możliwie skrócić dodatkową drogę, ale udawało się tylko trochę, bo kajaki zaczynały pod nami tańczyć upojną salsę i to z bardzo obszernym kołysaniem biodrami. Fajna zabawa! Lepsza od niejednej dyskoteki...

Wreszcie dotarliśmy pod trzciny przeciwległego brzegu i tam na spokojnej już wodzie zawróciliśmy na upragniony cel: duża, piaszczysta plaża ze sporą restauracją i wielkimi białymi parasolami w Małych Sworach(\*\*). Tak z daleka, na oko wyglądało, że na tych parasolach będą chłód obiecujące napisy "Tyskie".

Na nowo obranym kursie zarówno wiatr jak i fala pchały nas i to całkiem fajnie. Jak się cwanie pokombinowało z tempem wiosłowania, to udawało się przez dłuższą chwilę płynąć z rufą uniesioną na fali a dziobem skierowanym nieco w dół - taki kajakowy... surfing! Tyle, że kombinowanie z tempem zabierało cały zysk z surfowania. Ot... zabawa!

Na wielkich parasolach rzeczywiście były nadruki "Tyskie", więc za dużo nie kombinowaliśmy. Ania, dobre dziecko oczywiście pozostała przy kiepsko schłodzonych "Tymbarkach". Na obiad było jeszcze za wcześnie, a do dobrej restauracji w Sworach zostało nam ledwo 5, może 6 kilometrów przez dwa jeziora. O, wa! Góra pięć kwadransów!

Przed dalszą drogą poszliśmy jeszcze obejrzeć pod mostem przesmyk na Jezioro Długie, bo tam jest zawsze silny boczny nurt i trzeba rozsądnie w niego wejść, by nie zostać ostro śmigniętym pod lewy filar, albo i walnąć w niego. Woda jednak była dość wysoka, aby zagrożenia praktycznie nie było.

Jezioro Długie jest tak na prawdę krótkie, bo mierzy wzdłuż ledwie dwa i pół kilometra. Przy szerokości kilkuset metrów i pełnym po obu stronach zadrzewieniu fali na nim jeszcze nie spotkałem. Po obszernie bujanych atrakcjach na Charzykowach przepłynęliśmy je w mig.

Wreszcie wyszliśmy na Jezioro Karsińskie. Nawet za bardzo nie wiało, ale fala oczywiście nadbiegała ostro z prawej burty. Poczekalem na towarzyszy, by zdecydować, co robić, ale im się tylko oczy śmiały do spodziewanej zabawy. Widać spodobała im się ta rozrywka. No, to wio na mokry parkiet, na kolejną porcję salsy... kajakiem.

Był wtorek, więc i w Sworach w restauracji u Maćka(\*\*\*) weekendowych tłumów nie było. No i bardzo fajnie! Zjedliśmy porządny obiad, zabraliśmy z naszych samochodów resztę zostawionego tam prowiantu i popłynęliśmy na pole pobliskie namiotowe, bo tej atrakcji u Maćka nie ma. Kiedyś była, ale z racji rozbudowy całego kompleksu musiał z tego zrezygnować. Ma za to całkiem przyzwoite pokoje gościnne i

bardzo zaczęliśmy żałować, że nie zabunkrowaliśmy tu naszyć MFL na czas spływu. Trudno, całe życie człowiek się uczy na błędach! Może w przyszłym roku? Zobaczymy, co One na to? Wpływając z Karsińskiego na Brdę dostaliśmy się pod jedyny na tym spływie deszcz. Padały ogromne krople, ale tylko jakieś trzy może cztery minuty - trzy we mnie trafiły! Krople oczywiście. PTTK-owskie pole namiotowe na końcu Swor jest zupełnie przyzwoitym polem, choć z wygód ma tylko Toi-Toi'a, ale przecież wszystko inne jest o kilka kroków.

Takiej ilości proszących o żarcie łabędzi jeszcze nie widziałem. Czy wszędzie następuje tak szybko postępująca synantropizacja?

Za to uzbrojenie ogniska mają tam wręcz rewelacyjne. Podnoszona krata ogniskowa na łańcuchu zwieszonym z trójnoga, to jest wygoda! Jakoż i kolejna porcja kiełbasek została tam przyrządzona. Choć za drewno do ogniska trzeba było kilka złotych zapłacić, nie żalowaliśmy.

Fajnie się gada w takiej scenerii. A herbata na wodzie z rzeki smakuje na prawdę wybornie, choć to było tuż poniżej wcale nie małej miejscowości...

Skończył się "kłosek", ale "trawki" jeszcze trochę zostało na ostatni wieczór.

Kto po takim dniu pamięta, co mu się śniło? Nie... ni cholery!

Ponoć spadł jakiś mizerny deszczyk, ale do rana płótna po nim obeschły.

Śniadanko, pakowanko, Toi-Toi i... rzeka! Tu już nurt był znaczny i wystarczyło tylko "pieszczotliwie" wiosłem korygować kierunek. Do kolejnego jeziora "zaniósła" nas Brda sama. Na Witocznie pod trzcinami także nie było żadnych atrakcji. Kolejny odcinek coraz szerszej Brdy i mijamy potwornie zatłoczone pole biwakowe w Płęśnie. Tu da się spokojnie nocować tylko poza sezonem.

Zaraz potem z lewej szerokie rozlewisko i wejście pod niski mostkiem na przeurocze jezioro Płęsno - strefa ciszy. Tyle, że nas przywitał w tej strefie ciszy dziki ryk jakiegoś pewnie jeszcze "wczorajszego" kibica na wuwuzeli.

Coś tu jednak się zachowało. Ten kormoran, to chyba najlepsza nasza spływowa zdobycz - fotka Ani. Zawracamy na rzekę, a właściwie rozlewiska Jeziora Małołackiego, a zaraz za nim Łackiego. Tu zazwyczaj napotykam ogromną ciszę. Tak było i tym razem. Jedyny szkopuł na tym jeziorze, to wiedzieć od razu, gdzie szukać ujścia Brdy, bo ze środka wody nic wskazującego na ujście nie widać. Mapa i busola rozwiązują ten problem natychmiast.

Kolejne mijane pole namiotowe w Drzewiczu i już jesteśmy na Jeziorze Dybrzk. Solidny to kawał wody, ale dużo za wąski, by robić kajakarzom kłopoty... skośne.

Dopływamy do kolejnego naszego noclegu - Czernica. W wielkim i rzadkim lesie sosnowym stoi już od cholery namiotów, przyczep kempingowych, i wszelkiego innego biwakowego sprzętu. Jest ryzyko nader "atrakcyjnej nocy", ale nie zraża nas to. Zresztą dalej na szlaku i tak nie ma już nic sensownego.

Najpierw gotujemy wreszcie jakiś obiad - pierwszy na tym spływie na własnych maszynkach.

Jarek z Anią idą "obowiązkowo" do kapliczki papieskiej, a właściwie do sklepu, a do niej przy okazji, bo wszystko w miarę zimne wypiliśmy już dawno.

Potem odpoczywamy w miłym cieniu.

Pole biwakowe w Czernicy ma wiele zalet.

Jedną z nich jest potężna, 3 może nawet 4-ro hektarowa płytka zatoka poza nurtem Brdy i to w dodatku

z białym piaszczystym dnem. Tam latem jest zawsze ciepła woda i można się w niej najnormalniej wyleżeć. Pamiętam i taki spływ, kiedy w Boże Ciało, 26-go maja leżeliśmy tam ponad godzinę, a dzieciarni nie dało się wyciągnąć z wody bez użycia siły.

Trafił nam się ciekawy świata gość...

Jedyny kłopot na tym polu to brak bezpiecznego miejsca do zapalenia ogniska, co w suchym starodrzewiu jest poważną sprawą. Zebraliśmy jednak kilka gałęzi, połamaliśmy je i ze sporym zapasem wody w menażkach i butelkach zapaliliśmy, by podpiec kiełbaski. Ledwo się zagrzały, w kilka minut ogień zaczął jęzorami po ściółce uciekać na boki. Dobrze, że mieliśmy tę wodę...!

Pięknie tam jest odpoczywać po południu po długim wiosłowaniu.

Zbliżał się zachód słońca i oczywiście zaczęliśmy ostro fotografować.

Wieczory i zachody słońca, to w Czernicy nad Dybrzkiem kolejna atrakcja, którą się zazwyczaj zapamiętuje na całą resztę życia.

Pomimo ogromnej zbieraniny ludzi najprzeróżniejszego autoramentu wieczór na tym polu biwakowym był zadziwiająco spokojny. Pewno wypito wszystkie "nuty" zbyt wcześnie, a upał dopełnił skutków "masowego rażenia".

Noc była bardzo spokojna. Ja przynajmniej nic nie pamiętam.

Rano nad jeziorem wisiała bardzo gęsta mgła. I tak zaczął się ostatni etap naszego spływu. Była nadzieja na chłodniejszy dzień, ale zanim zrobiliśmy śniadanie, słońce wylampilo wszelkie nasze o tym marzenia. Zero chmur, błazane niebo, słońce jak balija!

Jeziro Kosobudno zaskoczyło nas. To było pierwsze miejsce na całym spływie, gdzie nie było zasięgu komórkowego. Sprawa wcale nie jest taka błaha. W dzisiejszych czasach trudno wytłumaczyć zatroskanym o nas bliskim, że nie dało się zadzwonić, bo nie było zasięgu! Zatem pogoniliśmy nieco w poszukiwaniu tego zasięgu, ale sprawa niebawem się wyjaśniła. W Męcikale pod samym masztem anteny też nie było zasięgu - znaczy, padła antena i... kiszka!

Ostatnie z dwunastu jezior naszego spływu to Jezioro Zapora. Ciągnie się toto od samej zapory w Mylofie aż pod Męcikał - chwalić Boga siedem bitych kilometrów ledwie trochę na boki rozlanej rzeki.

Tyle, że to już koniec naszego spływu i zawsze w takich okolicznościach nie chce się człowiekowi wiosłować...

Mylof jak zwykle: sporo kajaków na długawej przeniosce, co chwila ktoś przypływa i albo zabiera się do samodzielnego taszczenia gratów, albo dzwoni po transport, bo skończył spływ...

Są tu jeszcze wędzone pstrągi, których się oczywiście trzeba najeść, bo są zbyt nietrwałym produktem, by moi znajomi dowieźli je na Śląsk.

Dzwonimy. Transport będzie za godzinę. Wspaniale, ale trochę smutno...

Zwoził nas przemiły chłopak, ale największa frajda tego transportu to klimatyzacja w czyściuteńkim wewnątrz busie.

Fantastyczny spływ!

Nieduży - 12 jezior, razem trochę ponad siedemdziesiąt kilometrów w cztery dni, ale nam to wystarczyło. Prawdę mówiąc - musiało wystarczyć.

Żegnaliśmy się serdecznie. Dostałem od Ani wylewnego całusa i jestem z tego bardzo dumny. Oczywiście już coś planujemy na kolejny rok, ale może tym razem nie będziemy tego zbyt rozgłaszać...

Wieczorem, z zieloną "katuszą" na pękniętym bagażniku dotarłem do Tczewa, gdzie zaczęła się ta mniej turystyczna część mojego urlopu. Też było fantastycznie, ale to już sprawa wyłącznie prywatna. W międzyczasie serwis wymienił mi praktycznie cały bagażnik - porządna firma!

(\*) Swory - regionalna, pomorska nazwa miejscowości Swornegacie.

(\*\*) Małe Swory - analogicznie Małe Swornegacie.

(\*\*\*) Maciek - właściciel firmy "Agrokajaki", którą w pełnym zakresie oferowanych usług mogę rekomendować z czystym sumieniem, choć kajak zawsze wolę swój.